

Ewa Polak-Pałkiewicz*

Stół w polskim domu w tradycji i obyczaju dawnej Polski

I Ręce na obrusie

Jak rodzice w Polsce, jeszcze nie tak dawno, wyrażali swą miłość do dzieci? Wychowując je. Jak uczyli je zasad? Na przykład wymagając pewnych ścisłych reguł zachowania się przy stole. Zasady to coś mało dziś popularnego, choć wiele rodzin próbuje do nich wracać. W czasach, gdy w Polsce nie słyszano jeszcze o komunistycznych obyczajach, na horyzoncie nie wykwitał liberalizm, sztuka wychowania nie była wypadkową emocji, instynktów, własnych wyobrażeń, mody pedagogicznej czy nawet pewnych szacownych przyzwyczajień. Była czymś więcej. Wynikała ze świadomości, że dzieci trzeba wychować dla Boga.

Uderzająca była konsekwencja dorosłych. Z dziećmi w polskich domach nie obchodzono się jak z jajkiem. Od najwcześniejszych lat stawiano konkretne, nierzadko twarde wymagania. Od zasad nie było odstępstw, inaczej przestały być zasadami. Twarda musztra przy stole była tego dobrym przykładem.

* Ewa Polak-Pałkiewicz, eseistka katolicka, pisarka – autorka wielu książek, m.in. *Cafe Katedra* (2019), *Czego chcą od nas biedni Niemcy* (2018), *Bitwa o Gietrzwałd – Tryumf Królowej* (2018), *Powrót pańskiej Polski* (2016).

Mówili tylko dorośli

„W okresie letnim siadało do stołu około dwudziestu osób (łącznie z nauczycielkami i nianiami). Przy jedzeniu pilnowano, byśmy się prosto trzymali, estetycznie jedli i nie chowali rąk pod stół”, wspomina swoje dzieciństwo, spędzone przed ostatnią wojną w majątku rodziców w Czaczu, w Wielkopolsce, Michał Żółtowski. „Podczas obiadu i kolacji dzieci się nie odzywały, mówili tylko dorośli”.

Anna z Branickich Wolska, która spędziła najmłodsze lata – także tuż przed drugą wojną światową – w pałacu w Wilanowie, własności rodziców, wspomina: „Trzeba było usługiwać starszym, pomagać im. Zawsze starsi byli pierwsi. (...) Pamiętam nasze śmieszne pytanie: »Kiedy my dojdziemy do takiego wieku, żebyśmy mogły zjeść kawałek combra zajęczego, a nie tylko łapy?« Dzieci siedziały zawsze na końcu stołu i zjadały resztki z półmisków, a wszystkie dobre kaski jedli starsi. (...) Naczelną wartość w tym systemie wychowawczym stanowił szacunek dla wieku i pracy” – dodaje autorka tych wspomnień.

W domu Zaleskich w Mojówce na Ukrainie, tak jak we wszystkich z reguły domach polskich ziemian, „w czasie obiadu jadalny stawał się terenem musztry dzieci”, wspomina Anna Saryusz-Zaleska. „W uszach aż brzęczało od »siedź prosto, jak trzymasz widelec, jedz cicho, ręce na obrusie«. Ojciec miał duże poczucie humoru. Przybierając kpiącą minę, z łobuzerskim błyskiem w oku i ostentacyjną powagą częstował dzieci sentencją: »przy stole jak w kościele«, albo, dla odmiany, deklamował urywki ze *Złotej różdżki*. Nieposłuszny Pawełek staje się powodem katastrofy; wpada pod stół, a wraz z nim »obiad cały doskonały, leguminka, flaszka winka«. Nie ujdzie mu to bezkarnie (...) »Oho! Jedzie *prystaw* z dzwoneczkiem«. Największą obrazą było usłyszeć ten przytyk. Dlatego dzieci wystrzeżały się brzęczenia łyżeczką o filiżankę. *Prystaw* był carskim

urzędnikiem policyjnym, którego wizyta nie wróżyła nic dobrego. Jeździł z dzwonkiem. Rosjanie nie bywali w naszym domu (...)"

To, co dziś może wydać się egzotyką, było w tamtym świecie czymś naturalnym. Wizualnym symbolem i odpowiednikiem zasad obowiązujących w zachowaniu się podczas posiłków był stół. Zawsze – nawet, gdy był to stół najskromniejszy – starannie nakryty przez panią domu lub pod jej baczny okiem.

Jean Goyard, znawca tradycji rodzin francuskich, podkreśla, że tradycja katolickich domów w epoce przedrewolucyjnej – zarówno we Francji, jak i w Polsce – dokonała jedyne w swoim rodzaju połączenia. W nierozzerwalną całość została związana sztuka kulinarna, sztuka nakrywania do stołu i sztuka konwersacji.

„Ludzie w epoce *ancien regime’u* traktowali posiłki jako okazję do spotkań, a raczej, powiedziałbym, jako kolumnę, która ma przyjąć kapitel – czyli konwersację. Dlatego właśnie wielkie rodziny szlacheckie prowadziły *table ouverte* – otwarte stoły; w porze przeznaczony na posiłki mogli się u nich pojawiać nawet liczni przyjaciele”.

Dzisiejszemu czytelnikowi tradycyjne zasady wychowania dzieci mogą się wydawać niesprawiedliwą katorgą najmłodszych, bezsensownym dręczeniem własnego potomstwa, względnie sztuką dla sztuki. Zasady nie są w cenie. Ich sens często nie jest rozumiany. Ponadto jesteśmy przyzwyczajeni do wszelkich przejawów antykultury i wygłupów, które uchodzą za dowcipy. Do oglądania telewizji podczas wspólnego posiłku, objadania się, nieprzystojnych żartów, tolerowania jedzenia rękami u dzieci (tych starszych), oblizywania palców, grymaszenia, przekrzykiwania się.

Jeszcze przed ostatnią wojną rodzice katolicy nie rezygnowali z czujności w tej materii, pozornie tylko mniej istotnej, bo wiedzieli, że przymykanie oczu na łamanie przez

dzieci zasad zaowocuje w przyszłości słabością charakteru, utrudni moralny rozwój człowieka. Uniemożliwi szanowanie jakichkolwiek zasad. Wiedzieli, że zasady przyzwoitego zachowania się przy stole są nie tylko wizytówką domu, ale mówią bardzo wiele o człowieku. O tym, że nie szuka on w życiu ułatwień. Potrafi się opanować, szanuje drugiego człowieka. Nie jest niewolnikiem instynktów.

Pamiętano wówczas, że dobre wychowanie tym się różni od jego pozorów: ugrzecznienia, przesady, sztuczności w zachowaniu, a także ulegania zachowaniom stadnym („robię to co wszyscy, więc jestem dobrze wychowany”), że weryfikują je sytuacje trudne. Jeśli człowiek podczas posiłku nie zachowuje się jak dzikus – nawet gdy jest wygłodzony – gdy nie porzuca zasad uprzejmości i grzeczności w skrajnych warunkach (i to wobec wszystkich, bez względu na ich pozycję społeczną), a także nie ulega chciwości i pożądlivosti, nie daje się przekupić, nie zaczyna kłamać, można nazwać go człowiekiem kulturalnym. Kultura na naszym kontynencie wyrosła z chrześcijaństwa. Jej podstawą jest miłość Boga i bliźniego. Wraz ze schyłkiem wiary niknie kultura. Przywracanie zasad – w tak na pozór mniej ważnym obszarze życia, jak eleganckie zachowanie się przy stole – ma więcej wspólnego z zachowaniem naszej katolickiej tożsamości niż można by sądzić.

Lody na patyku

Gerard Rasch, holenderski tłumacz Zbigniewa Herberta, napisał w dzień po śmierci poety w piśmie „Vrij Nederland”: „(...) ważne jest, by również w poezji, szczególnie w poezji zachować ludzką twarz, bronić piękna, ponieważ słowo jest niedwuznaczne, uwiecznia nas i utrwala, gdyż poezja jest najwyższą formą porozumiewania się ludzi”. I zaraz potem dodał: „Nie ze wszystkiego można żartować. Niektóre wartości są absolutne. Dom. Jedzenie. Wolność. Prawda. Piękno.

Życie". Pomijając charakterystyczną dla wielu artystów przesadę i arbitralnie ustalone „absolutne wartości”, wśród których tylko Prawda zasługuje na to miano (piękno jest jej odbiciem, towarzyszy jej), te słowa są zastanawiające.

Słyszy się w nich prawdziwą tęsknotę za widzialnym łaodem. Tęsknotę za światem, w którym rzeczy są na swoim miejscu. Tak, nie ze wszystkiego można żartować. Poezja Zbigniewa Herberta – czerpiąca natchnienie z kanonu wartości klasycznych i odwołująca się do niego, jako do wzorca piękna, ładu, harmonii – była dla wielu ludzi, w tym dla holenderskiego tłumacza, sprawą istotniejszą niż mogłoby się wydawać. To nie była tylko poezja. To nie było tylko źródło inspiracji dla myśli, skojarzenia wielu rzeczy w czytelny, prosty – i w tej prostocie wytworny i elegancki – wzór, przyczyna wzruszenia i przeżycia estetycznego. Poezja poruszała struny głębsze. Docierała do fundamentu, do odwiecznego pragnienia Prawdy, Dobra i Piękna, nierozdzielnej całości. Nie bez przyczyny holenderski znawca Herberta wspominał o jedzeniu. Zapewne tak jak my dziś w Polsce, miał przed oczyma dwa przeciwstawne obrazy:

Olbrzymi wylew wszelkiego rodzaju budek z jedzeniem podawanym bezpośrednio do rąk klientów na ulicy – jakby to była wojna i trzeba było brać zupę z kotła ustawionego pod gołym niebem, a mięso jeść rękami. A obok jakieś nieprawdopodobne pałace gastronomiczne, o wnętrzach, na których piętno odciska gust tak wyrafinowany, że człowiek czuje się tam nieswojo, i gdzie zmusza się nas do spożywania na olbrzymich talerzach nienaturalnie małych porcji przybranych kwiatami, liśćmi, muszlami, ziarnami egzotycznych nasion i innych nieprawdopodobnych ozdób. Porcji czegoś, co mało przypomina jedzenie; jego zadaniem jest być przede wszystkim oryginalnym i dlatego podniecającym.

Miejscem, gdzie jedzenie traktowane jest normalnie, pozostaje prywatny dom. Normalnie, to znaczy bez zdawkowości, pośpiechu i zarazem bez ceremonialnej przesady właści-

wej snobistycznemu gustowi, który jest wiecznie niezaspokojony i uskarża się wciąż na brak nowych podniet. Dom rodzinny, w którym czeka nakryty obrusem stół, wygodne krzesła i skromny ale zdrowy, nie nazbyt obfity posiłek.

Czy jednak dużo jest takich domów? Nawet jedzenie w spokojnej, miłej, pełnej prostoty atmosferze stało się dziś rodzajem luksusu. A o tym, że istotnie, każdy posiłek jest czymś wartym zachodu w naszym kręgu cywilizacyjnym, przekonuje nade wszystko modlitwa przed posiłkiem, którą przez całe wieki w polskim domu praktykowanno. Nie było od tego zwyczaju odstępstw. Dziś „śmieciowe jedzenie” odzwyczajają nas od szacunku dla Bożych darów. Niechlujny sposób przyjmowania go wprost z papierków czy plastikowych opakowań, na ulicy, często brudnej, wśród hałasu i dymu spalin, uwłacza powadze tej czynności, która nie powinna nas zbliżać do świata zwierząt.

Warto zauważyć, jakim wyłomem obyczajowym i cywilizacyjnym stały się lody na patyku, wyprodukowane w fabrykach, do jedzenia na ulicy. Zanim rozpowszechniły się w latach dwudziestych XX wieku w Związku Sowieckim – gdzie przemysł ich wytwarzania był niemal przemysłem narodowym i gdzie zarazem spożywanie posiłków na oczach ulicy stało się codziennym rytuałem – były znane w Stanach Zjednoczonych. Niby rzecz drobnej wagi, banalna, a tak skuteczna w dziele systematycznego, powolnego kruszenia zasad, jakie niegdyś tworzyły naszą kulturę.

Nie tak wiele lat temu przecież w Polsce panie, siadając do obiadu, starały się nakładać inną suknię niż tę, w której od rana krzątały się przy pracy, a przynajmniej zmieniać fartuszek na czysty i odprasowany, bo każdy obiad był rodzajem rodzinnego święta. Był spotkaniem przy stole. Imieniny dzieciom wyprawiano zawsze w domu, pod okiem rodziców. Dziś, gdy tak często zastępują je *kinderbale* w McDonalddie albo też – równie często – rodzice opuszczają dom, gdy przychodzą goście do synka lub córeczki i w krótkim czasie

stawiają dom na głowie, warto zapytać: czym jest taki dom? Kim są tacy rodzice? Kim będą takie dzieci?

Czym będzie Polska pozbawiona domów rodzinnych, w których wszyscy domownicy, codziennie – nie tylko w wielkie święto – w stałych porach spotykają się przy stole?

II

Przyjęcie w polskim domu jako dzieło sztuki

Na koniec z trzaskiem sali drzwi na wściaz otwarto.
Wchodzi pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze:
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu (...),
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.

(A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*)

Trzask otwieranych z nagła wielkich dwustrzydłowych drzwi może się wydawać dźwiękiem banalnym, ale to od przywołania go rozpoczyna się Dwunasta Księga *Pana Tadeusza*. Dźwięk ten miał swoje miejsce w dramaturgii wydarzenia, jakim była staropolska uczta. Należał do subtelного świata doznań – dźwięków i obrazów – który nasycił dusze dzieci i poetów poczuciem niezwykłości tego co realne. („Życie nigdy nie stało się dla niego przyzwyczajeniem, zawsze było w nim coś cudownego”, pisano o angielskim pisarzu i poecie Maurice Beringu, przyjacielu G. K. Chestertona).

Drzwi nie mogły być otwarte cicho, bo początek musiał być efektowny. Niczym odsłonięcie kurtyny przy dźwiękach fanfar. A przecież nie chodziło o spektakl, tylko o spotkanie osób przy stole w prywatnym domu. Czy dziś ucho poety albo dziecka – tak czułe na specjalne, pełne znaczeń dźwięki – wyłowiłoby ten dźwięk spośród tysiąca innych, nieskończenie mocniejszych? Czy my, dzisiejsi Polacy,

odczytalibyśmy subtelny sposób respektowania hierarchii, ów kunszt usadzania gości, każdego na specjalnym, innym, jemu przeznaczonym miejscu? Czy odkrylibyśmy znaczenie postawy Wojskiego, którego godność majordomusa była tak wielka, że pozwalała wkroczyć do jadalni „w czapce i z głową zadartą”? A gdy doszło do kulminacyjnego momentu uczyty weselnej i na stół wjechały zagadkowe półmiski wypełnione mnogością tajemniczych dań – których same nazwy mogą przyprawić o zawrót głowy – czy nie byłibyśmy odrobinę speszeni nie zawsze wiedząc, jak się zabrać do nich?

Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!
Kto zrozumie nie znane już za naszych czasów,
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingrediencyjami pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów...

Tak elegancki wytworny i pełen fantazji był niegdyś w naszym kraju sposób podwyższenia temperatury spotkania, nadawania spotkaniu osób rangi święta, a zarazem utwierdzenia zebranych, że są uczestnikami widowiska, które ma wiele wspólnego ze sztuką. (Przypomnijmy arcy mistrzowski serwis, specjalnie zamówiony w Wenecji, „który barwy zmieniał”). Wspólna biesiada przy stole – wydawałoby się, fakt dość zwyczajny – bywała w polskich domach wydarzeniem artystycznym, godnym uwiecznienia jej przez pióro wieszczka. Bywała prawdziwym świętem. Świętem rodzinnym. Przy takich stołach wszyscy znajdowali się razem. Rodzice, dzieci, przyjaciele. Po takich biesiadach powstawały nawet księgi, jak pisze Mickiewicz. Wszystko zostawało zapisane – przemówienia, dowcipy, kolejność dań – na pamiątkę „owych biesiad sławnych,/ Które dawano w domach panów starodawnych,/ Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!”

Dlaczego warto o tym wspomnieć? Kluczem jest słowo „tęsknota”. „Tęsknota do ojczyzny wiernej swym odwiecznym kształtom wyraża się również trwaniem bohaterów przy narodowym stole. (...) w soplicowskim *centrum polszczyzny* obok herosów jest miejsce dla kustoszów narodowego obyczaju, który ktoś przecież musi pielęgnować, bo on ma trwać, *gdy zemsty lwie przehuczą ryki...*” (Stanisław Falkowski, *Ciężkie norwidy*).

Właśnie, ktoś musi pielęgnować. Ale kto? Komu przypada dziś ta rola?

Prawda to czy bajka?

Tęsknota pojawia się w wielu młodych sercach, w rodzinach, w których rodzą się dziś dzieci. Uczta staropolska to symbol. Nie należy go lekceważyć, gdy myśli się serio o rodzinie i o polskości. Symbol głęboko chrześcijański, jeden z tych, które nie pozwalają zapomnieć, że jesteśmy na świecie nie z powodu jakiegoś błędu, przypadku, lecz z miłości. A zatem tęsknota – wręcz głód – do posiadania wzorca życia, które jest tak bardzo nasze, które odzwierciedla naszą kulturę i duchowość, a zostało niemal całkowicie zapomniane, a przy tym wyśmiane przez świat tzw. „realnej fikcji”, jaki wykreowano na użytek odbiorców codziennej paplaniny w różnego rodzaju popularnych mediach. Ten rodzaj polskiego życia, o którym mowa, życia pełnego splendoru, nie jest już znany z autopsji, a kołaczę się w snach, w marzeniach, przecuciach – niczym echo w pustej sali. Echo czegoś odległego, dalekiego, nieuchwytnego, a zarazem bardzo bliskiego.

„My – krakowianie – pisze Ryszard Legutko – nawet w pierwszym pokoleniu, jak moje, nawet tak jak moja rodzina ledwie aspirująca do inteligencji – uważaliśmy się za nosicieli dobrego obyczaju, pamięci historycznej, inteligencji, ogłady, stabilności, cnót mieszczańskich oraz zako-

rzenionego w doświadczeniu rodzinnym antykomunizmu. My byliśmy żywym doświadczeniem zbiorowym..." (R. Legutko, *Esej o duszy polskiej*).

To starsi. Uwagę młodej polskiej widowni przykuwa nie „doświadczenie zbiorowe”, a fikcyjne życie wymyślonych postaci, bohaterów istniejących tylko na ekranie. Prawdziwe życie wydaje się pozbawione uroku. Świat wymyślony hipnotyzuje – znajdują się w nim wszelkie atrakcje w skondensowaniu, jakiego nie zna żadna epoka, żadna kultura, a wrażliwość wielu normalnych ludzi nie jest w stanie wytrzymać.

Żeby wyjść ze stanu hipnozy potrzebna jest twórcza postawa wobec własnego życia. Przyjęcie założenia, że nie muszę (bo kto był w stanie mnie do tego zmusić?) jako osoba – i nie musimy jako rodzina – popadać w jakąkolwiek rutynę. W jakimkolwiek obszarze życia duchowego, intelektualnego i codziennego praktycznego. (Czują to dobrze niektórzy ludzie mieszkający na wsi, w ich umysłach ocalone zostało przeświadczenie o cudowności stworzenia). Że stać mnie – zostałem po to stworzony przez nieskończonego Boga – by odkryć własne niepowtarzalne możliwości. I w sposób świeży, jedyny w swoim rodzaju, nie podpowiedziany przez nikogo z zewnątrz – żadnego złotoustego doradcę, żaden seryjny poradnik, żadne szkolenie czy modne „warsztaty” – wykorzystać je w moim życiu rodzinnym. Dla dobra moich dzieci. Kultura telewizyjno-komputerowa zabija tę postawę. Wpycha nas w kostium rozkapryszonego konsumenta, który uspokaja się dopiero, gdy dostaje kolejną porcję nowych – a w sumie takich samych, taniutkich – rozrywek, nowych gadżetów informacyjnych, nowy odcinek serialu. Karmieni kolejnymi odcinkami serialu stajemy się wtedy obliczalni, jak mechaniczne zabawki, które wystarczy w jednym miejscu nacisnąć, by uczyniły ruch, wydały dźwięk.

Warto żyć na przekór rutynie

Rutyna może zabić wspólnotę rodzinną i narodową. Popadając w nią można naprawdę uwierzyć, że rodzina (tak jak ojczyzna) jest mechanizmem, nie organizmem. Że ma reagować jak pies Pawłowa, automatycznie, ale nie z namysłem, rozważnie, po zastanowieniu się. Na przekór. Tak jak to czyniono zawsze w Polsce, gdy byliśmy duchowo wolni.

O wadze rodzinnego splendoru doskonale wiedział francuski myśliciel Louis-Ambrois de Bonald, który w połowie XIX wieku, w przeczuciu zwycięskiego pochodu nowoczesności, technologii i informacyjnego zgiełku niosącego duchową pustkę, pisał: „Gdyby w prowincjach i w każdej wiosce była jedna rodzina, posiadająca dostateczny majątek, aby zapewnić sobie utrzymanie, niezależne od zarobków i spekulacji finansowych, ciesząca się u mieszkańców wsi prestiżem, którym darzą oni zawsze posiadaczy starych i rozległych posiadłości. Gdyby ta rodzina, odznaczająca się zarazem pewnym splendorem życia, zaś na co dzień zachowująca skromność i prostotę, respektując surowe prawa honoru, dawała przykład wszelkich cnót i najwyższej godności. Gdyby dodawała ona do koniecznych wydatków związanych z jej stanem społecznym (...) tę codzienną dobroczynność, która na wsi jest nie tylko koniecznością, ale też cnotą. Gdyby zajmowała się jedynie obowiązkami życia publicznego lub była całkowicie oddana do dyspozycji państwa [autor „państwem” nazywa monarchię, nie republikę – EPP]. Czyż nie myślicie, że narody odniosłyby wielkie korzyści moralne i materialne dzięki takiej instytucji, która w tej czy innej formie istniała przez długi czas w Europie?...” (L.-A. de Bonald, *Oeuvres Completes*, tłum. Teresa Fernandes-Świątkiewicz).

Czy jednak pojedyncza rodzina może być jakkolwiek przeciwwagą? I na czym miałby polegać ten inny sposób życia? Zaskakiwać można domowników i przyjaciół nie tylko

odmienną scenerią rodzinnych uczt czy codziennych wspólnych posiłków, z opowiadaniem, dowcipami, nowymi wariantami potraw, odmienną aranżacją stołu, zmieniającymi się funkcjami domowników, coraz czynniejszym i bardziej twórczym udziałem dzieci. Warto wrócić do dawnego ideału wychowawczego ziemiańsko-harcerskiego, gdy dzieci uczono od najmłodszych lat spostrzegawczości – na spacerach i wspólnych przyrodniczych wyprawach – postawy gotowości do pomocy starszym, młodszym i potrzebującym, uczono naprawy domowych sprzętów, robienia „czegoś z niczego” – także jeśli idzie o posiłki. (Reklamowane dziś płatki z mlekiem jako żelazne menu śniadaniowe dzieci i młodzieży to symbol tego specyficznego dla naszych czasów przedłużania niemowlęctwa, epoki papek i kaszek, epoki infantylności, podczas gdy w dawnych domach chłopskich i szlacheckich dzieci dostawały na śniadanie barszcz z ziemniakami, żytnie kluski ze skwarkami i fasolę albo groch. Zdrowe proste jedzenie odzwierciedlało zdrowe wychowanie duchowe).

Bogactwo form życia rodzinnego i towarzyskiego, którego centralnym miejscem był dom rodzinny, a w nim wygodny duży stół, zastąpił nieustanny huczny karnawał, który wypełnia wszystkie środki przekazu. Udział w nim ma jednak swoją cenę. Jest nią notoryczne zmęczenie psychiczne i wyjałowienie duchowe i intelektualne.

„A wokół huczy wspaniałe życie Rumiane jak
rzeźnia o poranku” (Zbigniew Herbert)

Czy wracając do wzorców życia naszych mądrych przodków nie popadamy w sentymentalizm, nie kopiujemy anachronicznych i sztucznych w naszych obecnych warunkach modeli? Życie lubi sprawiać niespodzianki. Walec, jaki przetoczył się przez Polskę od tamtych czasów przynajmniej czterokrotnie, zniszczył niemal wszystkie materialne ślady

dawnego życia, a jej licznych mieszkańców pozbawił poczucia zakorzenienia we własnej kulturze. „Polska, jaką znam i w jakiej żyłem od urodzenia, to Polska zerwanej ciągłości”, zaczyna swój *Esej o duszy polskiej* Ryszard Legutko. I dodaje, że jest ona krajem „poddawanym w ostatnich dekadach ciągłym przekształceniom, gwałtownym reorientacjom cywilizacyjnym, rewolucjom, restrukturyzacjaom, transformacjom, normalizacjaom”. Czy zerwanej ciągłości nie da się jednak naprawić?

Spróbujmy zacząć raz jeszcze od początku. Od domowych ścian. Od nagle, z trzaskiem, otwartych drzwi prowadzących do jasnego pokoju, gdzie przy stole zebrali się wszyscy, których kochamy. Rzęsiste światła, zapach potraw, błyszczący zastawa. Zaczyna się znów polskie święto.

III

Jelenie nadziewane, ciasta sążniste, okrutne baby

Jeśli komuś wydaje się, że pomiędzy posiłkiem a sprawami religii nie ma związku, jest w błędzie. Polacy w swojej kulturze i obyczajach potrafili ten związek ujawnić celebując zjawisko kulturowe, które określamy mianem świątecznego stołu.

Szczodrość i artystyczna malowniczość wielkanocnego stołu oraz wielka logistyczna operacja, jaką w tradycyjnych domach polskich było zawsze sprzątanie przed Świętami Zmartwychwstania Pańskiego, bywały dostatecznie często w różnych współczesnych felietonach wyśmiewane, by nie zastanowić się nad tą nutą czcigodnej przesady, a w istocie przekory polskiego katolickiego żywiołu wobec kultury protestanckiej. Kultury, która nawet świętować Wielkanoc i Boże Narodzenie nakazywała smutno, oschle i bojaźliwie. Jakby tylko jednym rąbkiem umysłu i serca, ukradkiem. W Polakach zaś, którzy byli katolikami, dochodziły

do głosu hojność, żar, fantazja i polot; świętowaliśmy zawsze całym sercem.

„Wojewoda Sapieha w Dereczynie¹ wspaniale wyprawiał Święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek z chorągiewką, wyobrażający »Agnus Dei«; ten dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stały cztery ogromne dziki, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz wielką pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, ze złocistymi rogami, nadziane były różnaitą zwierzyną. Te jelenie wyobrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest cudne placki, mazurki, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane »bakalią«. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile jest dni w roku”². Kronikarz, Łukasz Gołębiowski, wylicza to wszystko (przypominając, że i czeladź była tu nakarmiona, przypadło też jej 8760 kwart miodu, „tyle, ile godzin w roku”), by uprzytomnić, jak nasi przodkowie potrafili podziw dla Pana Czasu wpleść w uroczyste świętowanie Zmartwychwstania Chrystusa. Symbole, wymowa liczb miały uczynić gościnę świąteczną przy stole

¹ Dereczyn – wieś (niegdyś miasteczko, a wcześniej miasto magnackie) w rejonie zelwieńskim na Grodzieńszczyźnie, położona na północ od Różany nad rzeką Zelwą. Niegdyś własność Kopoczewiczów, Połubińskich oraz Sapiehów, którzy mieli tutaj swój pałac zbudowany w 1786 r. W 1629 r. Konstanty Połubiński i jego żona, Zofia z Sapiehów, ufundowali w Dereczynie kościół i klasztor dominikanów. Po upadku powstania listopadowego wyposażenie pałacu, łącznie ze wspaniałymi obrazami, bogatą biblioteką i obszernym archiwum, zostało wywiezione przez Rosjan do Petersburga, skąd już, jak większość zrabowanego Polsce dziedzictwa kultury, nigdy nie powróciło. Podobnie poczyniono ze zbiorami w pobliskiej Różanie, gdzie straty dla kultury polskiej były jeszcze większe (za Wikipedia.org).

² Cyt. za ks. F. Marlewski, *Rok Boży w liturgii i tradycji Kościoła świętego*, Wydawnictwo św. Stanisława, Katowice 1932.

ustawionym w magnackim pałacu – tak jak i w dworku szlacheckim – wielowymiarową, poważniejszą niż tylko przeganianie potężnego głodu równie potężną w rozmiarach ucztą, po zmaganiach w Wielkim Poście.

Ta rozrzutność, w oczach „kalwinów i lutrów” – jak zauważa cytowany powyżej autor *Roku Bożego*, trwonienie wysiłku, czasu i pieniędzy na okazałość zewnętrznej formy święta religijnego przy stole – jest przejawem specyficznie polskiej otwartości wobec ludzi, gościnności, radości z powodu spotykania się z bliźnimi pod rodzinnym dachem. Cechy coraz mniej dziś w świecie popularnej i docenianej. A jest to coś arcychrześcijańskiego. Coś subtelnie duchowego.

Dzień Wielkanocy jest wciąż w Polsce dniem „wesółym”, czyli rzeczywiście najradośniejszym w roku, bo ludzie wierzący w Chrystusa uświadamiają sobie, że oto dokonało się coś przejmującego do szpiku kości niewysłowioną głębią i tajemnicą: odkupienie świata przez Boga Człowieka.

Grób Zbawiciela w kościołach tonie w nieprzebranym morzu kwiatów. „Gdzie kamień, gdzie straż, gdzie pieczęć, gdzie śmierć?” Wszystko pierzchło! „Niechaj drżą i rozpaczą ci, którzy nie wierzą w Chrystusa!”³

Profesor Léo Moulin, belgijski historyk (autor m.in. pracy poświęconej europejskiej historii gastronomii) wykazał, że najlepsza kuchnia w Europie jest kuchnią katolickiej Polski. Czymś w tej dziedzinie bezapelacyjnie najgorszym jest natomiast „kuchnia luterskich Niemiec Wschodnich” (słowa te padły jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec w 1990 roku). „Jak to możliwe – pyta Vittorio Messori w jednym z esejów – zważywszy, że klimat i surowce są jednakowe u Polaków i Niemców? Zresztą wszędzie w świecie kuchnia katolików jest lepsza od kuchni protestantów, i nawet ważniejszą rolę odgrywa w ich życiu”. Brzmieć to może

³ Cyt. za ks. F. Marlewski, *Rok Boży w liturgii i tradycji Kościoła świętego*, Wydawnictwo św. Stanisława, Katowice 1932.

zagadkowo i trochę jak przechwałka. Ale Messori dorzuca jeszcze do tych rozróżnień powiedzenie popularne we Włoszech: „Piekło to miejsce, gdzie kucharzem jest Anglik”.

Sprawa nie jest wcale banalna. Léo Moulin następująco wyjaśnia tę zagadkę: „Faktem jest, że protestantyzm stłumił w człowieku radość życia: wierzący jest sam przed Bogiem, musi ponosić pełną odpowiedzialność za swoje czyny, włącznie z wyrzeczeniem się grzesznego »pożądania« pożywienia. Katolik jest bardziej wolny i mniej zakompleksiony, wie bowiem, że do pomocy ma całą gamę czynników mediacyjnych, kulturalnych i eklezjalnych. Przede wszystkim spowiedź, z jej wyzwalającym przebaczeniem. Tragedia protestantyzmu polega na tym, że zrzuca on na człowieka nieznośny ciężar. Mówiąc mu: »Twoje zbawienie jest tylko twoją sprawą, załatwiaj je sobie sam z Bogiem«, dopuszcza, że człowiek ugina się pod straszliwym ciężarem albo też zmuszony jest udawać, nawet wobec samego siebie, cnotę, której nie może już praktykować. Stąd słynna hipokryzja”.

Niektórzy znani w świecie ludzie zwykli gromko pokrzykiwać, że i Polska i Włochy są zaściankiem, bo nie poznały uroków Reformacji. Niestety naszym krajom miałby być fakt, że nauki Lutera i Kalwina nie przeniknęły z powodzeniem poza nasze granice. „Ubolewają nad tym, lecz wiedzą, że zasiadając do stołu, aby smakować obiadek po włosku [lub wieczerzę wigilijną czy śniadanie wielkanocne po polsku – EPP], zaciągają dług wobec katolicyzmu. Inaczej mówiąc – jedliby pudding lub hamburgery, albo największy przysmak – w dni świąteczne – kurczaka z frytkami”. Taka jest opinia cenionego historyka i znawcy historii sztuki kulinarnej.

Jeżeli więc świętowanie Wielkanocy tak często przebiega u nas „wokół stołu”, nie znaczy to, że jesteśmy puści i zmysłowi, lecz że dajemy naszej wewnętrznej radości także wyraz zwyczajnie ludzki, nie zapominając, Kto jest dawcą tych wszystkich dóbr, które układamy kunsztownie na stołach.

Jest to także hołd złożony Bogu za Jego dary, zwłaszcza gdy świątecznemu posiłkowi towarzyszy modlitwa przed jedzeniem i po jedzeniu, niezwykle doniosła.

...oto w samym założeniu świata widzialnego jest jakby pewien układ między człowiekiem a resztą stworzenia nie obdarzoną rozumem. „Wszystko poddane jest pod stopy człowieka” (Ps 8,7), cały świat mu służy i jest do jego dyspozycji, ale za to on ma temu światu pomagać wracać do Boga i szerzyć Jego chwałę. On ma w imieniu świata wypełniać to, czego wszystkie stworzenia świata nie są w stanie uczynić... Na tym polega głęboki symbolizm modlitwy przed i po jedzeniu. W czasie posiłku całe stworzenie, przedstawione przez trzy królestwa: mineralne, roślinne i zwierzęce, staje do usług człowieka, aby go utrzymać przy życiu, człowiek zaś przed i po spożyciu pokarmu już nie tylko w swym imieniu, ale i w imieniu całego stworzenia składa hołd i dzięki Bogu i Stwórcy wszechrzeczy (o. Jacek Woroniecki OP, *Pełnia modlitwy*, Warszawa 2018).

Z pewnością sprzątanie domów „od piwnic po strychy”, czyszczenie, pranie i wietrzenie wszystkiego, co zalega w najciemniejszych kątach, w kufrach, szafach jest także wyrazem religijnego zapału, jaki ogarnia nas przed Wielkanocą. Podobnie wielodniowe przygotowywanie wielkanocnego stołu, by było na nim naprawdę „bogato”, a zarazem artystycznie i kolorowo.

Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne baby. Ach! bez nich cóżby całe Święcone znaczyło? Na ich ogorzałych obliczach gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czerniawa, lepka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smacznymi były. Garnitur pierogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania wypełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia, nęciło (Ignacy Chodźko, *Dworek mojego dziadka*).

Dworzanin hetmana Tarnowskiego, Mikołaj Pszonka, tak opisał swojej żonie Świącone w mieszczańskim domu krakowskim, na które przybył wraz z panem hetmanem:

Na stole okrągłym, u którego i sto osób pomieścić się mogło, przykrytym w krzyż zszywanym obrusem, na sześciu misach srebrnych leżały mięsiwa wędzone wieprzowe, na drugich sześciu po dwoje prosiąt, kielbasy dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, a najwięcej na rakowo. Stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Kajfasz wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Turcy i Izraelici nie jedzą mięsa wieprzowego. Na środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki, oczy jego to były dwa brylanty w czarnej oprawie... Dalej srebrne łódeczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał. Pan Hetman zaproszony przez pana Chroberskiego na to Świącone, przybywszy wraz z dworem, długo mu się przypatrywał.

Czy można się dziwić, że tego rodzaju obyczaje, gdzie urokom stołu towarzyszyły powściągliwość i kultura bycia, wywoływały furię złości u naszych sąsiadów, gdzie barbarzyństwo wkraczało także w progi domów rodzinnych, dworzyszczów i siedzib bojarskich, i nie oszczędzało czasu świątecznego? Że Rzeczpospolita Obojga Narodów, w której dostatki, potędze, sile wtórował rozum, wiara, honor, męstwo, a także elegancja i splendor widzialny, była bolesną drzazgą w ich oku? Nie chcieli takiego sąsiedztwa, bali się takiej kultury. Wielu jednak było i takich, którzy pod wpływem polskich obyczajów przechodzili na katolicyzm i błyskawicznie się polonizowali.

Czas przystąpić do najważniejszych rzeczy, do kołaczów, placzków, jajeczników, makowników, które okręzały jeden najważniejszy kołacz (...) miał w obwodzie z ośm łokci, gruby

na dwie piędzi, a jakieśmy tylko weszli do izby, to nam zapachniał swojemu przyprawami. Po brzegach wokoło niego stały różne figurki: apostołowie, udani jak żywo, a to wszystko z ciasta. Ubawił mnie bardzo Judasz, rudowłosy i brzydki. Po zmówieniu zwyczajnych modlitw zaczęło się spożywanie daru Bożego.

»Święcone« Wielkanocne jest rdzennie polskim zwyczajem, nigdzie indziej w krajach chrześcijańskich nie spotykamym, jest dowodem bezgranicznej gościnności Polaków, którzy w dawnych czasach nieraz setki gości spraszali, przygotowując dla nich wymyślne, zbytkowne potrawy wielkanocne⁴.

Tak było kiedyś, ale przecież mamy wiek XXI! Jesteśmy z konieczności pragmatyczni, oszczędni, powściągliwi, bowiem jesteśmy zapracowani, ambitni, aktywni, dbamy o dietę, uprawiamy sporty, łykamy witaminy. Zamiast pracochłonnych dań przyrządzanych w domu i spraszania tłumu gości wybieramy często wizytę z przyjaciółmi w przytulnej knajpce. Niewątpliwie, świąteczne ucztowanie, także świąteczne tradycje, jak pisanki wytwarzane w domu, śmigus-dyngus (bez obawy o uszczerbek na zdrowiu), odwiedzanie Grobów Pańskich w Wielką Sobotę zamiast joggingu i rowerów w lasku podmiejskim, mają mało wspólnego z pragmatyzmem i zdrowym trybem życia. Katolicy jednak przez wieki rozumieli, że praktykowanie przez nich wiary w Chrystusa musi mieć także fizyczne, materialne odzwierciedlenie w ich życiu – dokąd rzeczywiście panowały w ich umysłach prawdy naszej katolickiej religii, a nie mętna „religijność”. Ta ostatnia jest tylko, jak mawiał Chesterton, nieuświadomionym zabobonem i opiera się na dwóch dogmatach; po pierwsze, że ludzkość z biegiem czasu staje się bezustannie coraz lepsza; po drugie, owo ulepszenie polegać ma na

⁴ Cyt. za ks. F. Marlewski, *Rok Boży w liturgii i tradycji Kościoła świętego*, Wydawnictwo św. Stanisława, Katowice 1932.

coraz większej obojętności i niewierze wobec świata nadprzyrodzonego.

Pan Hetman ochoczo prosił, aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego po troszę, napił się miodu, wina nie chciał. Podał Imć Pan Hetman święconego jajka każdemu. My czekaliśmy z wielkim uszanowaniem, aż Pan Hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej stołu. Po niedługim czasie rzekł: Używajcie Waszmości Panowie hojności gospodarza, a skromnie i honeste⁵. Sam pokłoniwszy się, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek. (...) W otwartości i ochocie staropolskiej odbyliśmy tę biesiadę. Każdy położył, co chciał, nikt nie przebrał miary. Po wesolyń »alleluja« rozeszliśmy się wszyscy i dosiadłszy konia, ruszyli na zamek, gdzie była radość ze zmartwychwstania Pańskiego. Wszyscy dworzanie J.K. Mości i panów pospołu w dolnych izbach pili i jedli, a pamiętając na uroczystość święta Bożego, zbytku się strzegli.

Malownicze i bogate, a nawet wręcz wymyślne tradycje polskiej Wielkanocy potwierdzają fakt, że w umysłach Polaków przez wieki królowały prawdy po stokroć przekraczające możliwości ogarnięcia ich myślą aż do końca, ale za to jakże inspirujące, jak wiele pola do popisu dające ludzkiej wyobraźni! Bo całkowicie przekraczające nasze ludzkie doświadczenie, zaprzeczające pospolitej logice doczesności – jak to Wydarzenie, które jest głównym dogmatem naszej wiary: że prawdziwy Bóg zstąpił na ziemię, stał się Człowiekiem, umarł na Krzyżu, by odkupić nasze grzechy. I choć umarł w okrutnej męce, na oczach świadków – trzeciego dnia zmartwychwstał! Czy można nie szaleć wprost z radości, gdy pojęło się – choćby w niewielkiej tylko części – ów zamysł Stwórcy co do człowieka? I jego skutki sięgające wieczności, dla każdego z wierzących w prawdziwego Boga?

⁵ *honeste* (łac.) – uczciwie, godziwie, sprawiedliwie

Jak słusznie zauważył Chesterton, ludzie wróciliby do tradycyjnej religii i moralności, gdyby tylko umieli wystarczająco poszerzyć swoje umysłowe horyzonty.

Dlatego pieczone prosię na półmisku z jabłkiem w pysku, w otoczeniu rozległych połaci jarmużu i setek malowanych jaskrawo jaj, nie jest wcale przykładem festiwalu obżarstwa w wielkanocny poranek, typowego dla Sarmatów nieokrzesania i „przesady” w dogadzaniu sobie oraz imponowaniu zaproszonym gościom wystawnością i fantazją, lecz czegoś zgoła odmiennego: nieumiarkowania w nadziei, dziecięcego wprost zachwyty, jaki przystoi katolikom. Zachwyty dla Boskiej hojności, z jaką człowieka obdarował dobrami doczesnymi i wiecznymi. Odrywania się myślą i czynem od codziennej siermięgi, od pospolitości, od dźwigania ciężarów zwykłego dnia, by okazać Bogu – ale i objawić ludziom obok żyjącym – swoje oczarowanie, olśnienie, pokorę i wdzięczność.